Nr. 19 (porz. 200.) Kraków, sobota d. 9. maja 1903. Rok VI.

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Wychodzi co sobotę. Kosztuje rocznie 4 kor półrocznie 2 kor. Numer pojedynczy kosztuje 20 hal. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu“ jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2. Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego. Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „Obrony ludu“, Kraków, ul. Pijarska l. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

Piętnastą zapomogę

wypłaciliśmy Agnieszce Makuch, wdowie po ś. p. Józefie Makuchu, prenumeratorze „Obrony ludu“, zmarłym dnia 7. kwietnia b. r. Pozostawił żonę i troje dzieci.

Szesnastą zapomogę

daliśmy Franciszce Grzywaczowej, wdowie po ś. p. Antonim Grzywaczu, który umarł mając lat 43 i pozostawił sześcioro dzieci.

Siedmnastą zapomogę

otrzymała Julianna Korbel, wdowa po ś. p. Janie Korbel, prenumeratorze „Obrony ludu“.

Ośmnastą zapomogę

wypłaciliśmy Reginie Dziedzic, wdowie po ś. p. Michale. Zapomoga okazała się wielkiem dobrodziejstwem, pozostało bowiem sześcioro drobnych dzieci bez zaopatrzenia.

To zróbcie, czego się domagają miliony ludu, a nie to, czego chce kilka tysięcy żydowskich szynkarzy...

Tak powiedział na zgromadzeniu posłów w Wiedniu dr. Danielak, gdy była rozprawa nad nową ustawą o święceniu niedziel i świąt. Żydzi-szynkarze i żydzi-kupcy domagają się na gwałt, aby mogli w niedzielę mieć sklepy pootwierane. Większość posłów godzi się na to, aby sklepy mogły być otwierane tylko po południu, cała Rada państwa jednak nie chce się zgodzić na to, czego chce lud. A czego chce lud? Na wszystkich zgromadzeniach domaga się lud, **aby karczmy i szynki były pozamykane od soboty wieczora aż do poniedziałku zrana**, tego domaga się lud i to powinni posłowie uchwalić. Tego też domagał się poseł dr Danielak, boć przecie wszyscy wiemy, że choćby wszystkie sklepy były zamykane, to jeżeli karczmy i szynki będą otwarte — lepiej nie będzie. Żydzi gwałtu krzyczą i boją się zamknięcia szynków, bo nie mieliby co robić i rząd wiedeński uważa na te głosy karczmarzy, a nie uważa na miliony ludu. Więc jakto — dla ciebie kochany rządzie — więcej znaczy kilka tysięcy żydów-karczmarzy, aniżeli miliony ludu, który podatkami swymi państwo trzyma, który wojsko daje, chleb zdobywa dla wszystkich — to te miliony nie mają znaczenia, to głos tych milionów nic nie znaczy?

Jeżeli rząd i Rada państwa głosu ludu nie posłucha, jeżeli nie uchwali, aby szynki i karczmy były zamykane w sobotę aż do poniedziałku rano — to lud sam zrobi porządek — to lud będzie musiał sam w każdej gminie uchwalić, że nikt nie ma iść do karczmy po nic od soboty do poniedziałku. Trzeba będzie zrobić takie uczciwe sprzysiężenie. Niech sobie karczma stoi otwarta, ale w niej nie będzie nikogo od soboty do poniedziałku. Wtedy to lud pokaże siłę i moc — i sam sobie uchwali prawo takie, jakie sam chce bez rządu i bez parlamentu. Więc panowie wójcia, panowie radni — dalej, zbierzcie się i uchwalcie zbożne prawo dla siebie i dla całej gminy. Żydzi świętują szabas, my będziemy świętowali niedzielę. Czy to my mamy być gorsi od żydów? Chyba nie.

Każda gmina, która uchwali u siebie takie zacne prawo, niech nam doniesie, a my ją wydrukujemy wielkiemi literami, aby inne gminy poszły za jej śladem. Więc w imię Boże, **karczmy i szynki omijać od soboty do poniedziałku**.

A ty — rządzie — rób to, **co chcą miliony ludu**, a nie to, czego chcą żydowscy karczmarze.

Bóg mnie ocalił!

Wyspa Islandya leży wśród niezmiernych obszarów oceanu Atlantyckiego, na północny-zachód od nas. Ubogi to i smutny kraj ta Islandya! Wiosna, lato i jesień trwają tu zaledwie półczwarta miesiąca, roślinom więc śpieszy się bardzo, aby w ciągu tak krót-

kiego czasu wyrosnąć, okwitnąć i wydać nasiona. W tej porze roku słońce przez kilka dni nie zachodzi tu wcale, tylko przybladłe nieco przechodzi ponad zachodnim krańcem widnokręgu i znowu wzbija się w górę. Zato podczas świąt Bożego Narodzenia przez kilka dni słońce nie ukazuje się wcale i dnia zupełnie niema, tylko długa noc.

Mieszkańcy Islandyi zajmują się przeważnie rybołowstwem, gdyż grunt ubogi nie mógłby ich wyżywić.

Było to na początku stycznia. Zegar pokazywał zaledwie drugą godzinę po południu, a już noc ciemna zapadła. Proboszcz wsi Grunan, położonej na północnych wybrzeżach Islandyi, pracował przy kowadle, waląc młotem w rozpalone żelazo. Trzeba bowiem wiedzieć, że szczupłe dochody parafialne nie wystarczały proboszczowi na utrzymanie, musiał więc w chwilach wolnych od posług duchowych zajmować się rzemiosłem.

Izbę przyległą do kuchni oświecały trzy małe kaganki, napełnione tranem czyli tłuszczem wielorybim, który bardzo niemiłą woń wydawał. W dużym piecu palił się torf, napełniając izbę przyjemnem ciepłem.

Proboszcz, ukończywszy robotę, zagasił ogień na kuźni i wszedł do izby, w której zgromadziło się kilkunastu parafian. Zwykle w długie wieczory zimowe przychodzili oni z dziatkami na probostwo, aby posłuchać czytania ciekawych i pożytecznych książek. Kobiety przędły i szyły, a mężczyźni naprawiali sieci, albo wycinali z rogu i kości rozmaite przedmioty, które sprzedawali kupcom, przybywającym z Anglii.

Najpiękniej wyrzynał figurki szachowe młody Steno, narzeczony Regnildy, siostrzenicy proboszcza. Steno był zręcznym rybakiem i śmiałym żeglarzem; odbył on już kilka dalekich podróży po morzu Północnem, dopływał on do północnych brzegów Ameryki. Umiał on także bardzo zajmująco opowiadać i śpiewać piękne pieśni żeglarskie, ale tej zimy smutny był i milczący, gdyż wielkie dotknęło go nieszczęście. Oto półtora roku temu ojciec jego popłynął do Grenlandyi, wyspy najbardziej na północ wysuniętej, i za miesiąc miał powrócić na wesele Stena z Regnildą.

Lecz upłynęła zima, przeszło lato i znowu mróz porwał morze w swe lodowe uściski, a o ojcu Stena słychać nie było. Zeszłego lata spodziewano się napewno powrotu starego rybaka na okręcie, który dowoził żywność kolonistom grenlandzkim. Ale lato tak było zimne i burzliwe, że okręt z powodu nagromadzonych lodów i nieprzeniknionej mgły nie mógł dopłynąć i czekano wiosny, aby zawieść zapasy cierpiącym głód mieszkańcom dalekiej wyspy.

Gościom zebranym u proboszcza czas szybko leciał przy pracy, na czytaniu i rozmowie; a rozmowa toczyła się głównie o nieszczęśliwych kolonistach grenlandzkich, którzy daremnie oczekiwali pomocy. Każdy wzdychał i ubolewał nad ich losem, i przyznawał, że tylko wczesna wiosna może ich wybawić.

Około ósmej zebrani pożegnali proboszcza; każdy kładł na siebie po dwa kożuchy i twarz pokrywał sukienną zasłoną, w której dwa tylko malutkie znajdowały się otwory na oczy, aby przez

nie drogę było można rozpoznać. Mróz był niezmiernie silny i dlatego goście wychodzili szybko i pojedynczo, bo dłuższe otworzenie drzwi groziło wymrożeniem całego mieszkania.

W pięć miesięcy później Islandya przybrała weselszą postać: doliny, wąwozy i wybrzeża morskie pokryły się zielonemi mchami i lichą trawą; na polach uprawnych powschodziły nikłe owsy i jęczmień, a karłowate brzozy i wierzby powiewały drobniuchnym liściem; na łąkach rozwinęło się mnóstwo kwiatów.

W wigilię świętego Jana mieszkańcy Grunany w świątecznych strojach zgromadzili się przed kościołem. Po odprawieniu nabożeństwa, proboszcz dał ślub Stenowi z Regnildą. Ojciec młodego rybaka nie wrócił, dotąd żadnej o nim nie było wiadomości, i Steno wybierał się właśnie w podróż na odszukanie ojca. Przed opuszczeniem rodzinnej wyspy chciał zaślubić Regnildę, aby zabezpieczyć przyszłość ubogiej sierocie — na wypadek śmierci zapisał jej cały swój majątek.

Na trawniku przed kościołem zastawiono stoły, i przy odgłosie muzyki rozpoczęły się tańce narodowe. Wszyscy weselili się, tylko młoda para była smutna i zamyślona, gdyż nazajutrz o świcie Steno miał wsiąść na okręt i opuścić Islandyę na długo... może na zawsze.

Zaledwie goście rozruszali się nieco, gdy nagle od brzegu rozległ się krzyk przeraźliwy: — »Niedźwiedzie płyną na krach!«

Natychmiast muzyka ucichła, tancerki poukrywały się do chat, a mężczyźni w gmieniu oka uzbroili się w strzelby, topory i dzidy, ażeby stoczyć walkę ze straszliwym wrogiem, i wszyscy pośpieszyli ku brzegowi.

Prawie co lato napływają od bieguna północnego niezmierne kry lodowe, na których czasem znajdują się białe niedźwiedzie, wygłodzone podczas długiej podróży na odłamie lodu. Jeżeli prąd morski, albo wiatr przypędzi je do brzegu, natenczas mieszkańcy tego brzegu narażeni są na największe niebezpieczeństwo, gdyż bardzo trudno obronić się tym rozwścieczonym z głodu, a nad miarę silnym bestyom, i nieraz wielkie stąd wydarzają się nieszczęścia. Nic więc dziwnego, że na wieść o niedźwiedziach na wybrzeżu zapanowało wielkie zamieszanie.

Ale niebawem stary, doświadczony rybak zawołał:

— Uspokójcie się, ludzie, kry płyną, a na nich niema ani jednego niedźwiedzia!

— Widać, że wam wzrok słabnie na starość — rzekł jeden z młodych rybaków. — Spojrzyjcie na tę płaską, niebieskawą krę, wszakże na niej widocznie coś się rusza.

— Prawda — odpowiedział Horso — ale mogę przysiądz, że to nie jest niedźwiedź.

— To jest namiot! namiot grenlandzki! — zawołał Steno — można nawet rozróżnić drągi, na których jest rozpięty.

— Tak to jest namiot, a obok namiotu człowiek! — wzruszonym głosem powiedział Horso. — Czy nie widzicie, jak wyciąga ręce, wzywając ratunku; dalej śpieszmy na pomoc!

Natychmiast cała ludność rzuciła się do łodzi; ale zanim zdo-

łano odbić od brzegu, już kra pędzona z całą gwałtownością prądu, uderzyła o brzeg z taką siłą, że człowiek, namiot i wszystkie rzeczy na niej się znajdujące, wyrzucone zostały na brzeg.

(C. d. n.)

Przestroga na czasie.

Wśród wrzawy szalejącej u nas z powodu walki politycznej, odezwał się głos przestrogi za pośrednictwem listu arcypasterskiego ks. Bilczewskiego, który w sam czas przypomina obowiązki naszemu duchowieństwu i intelligencyi. Chwila bowiem jak dzisiejsza, w której walczą namiętności ludzkie, tylko nienawiść zrodzić musi, przyczem rzecz naturalna, utrudnia dążenia do podniesienia dobrobytu.

Z listu wspomnianego naprowadzamy kilka najważniejszych ustępów i tak:

»Mojem najgorętszem życzeniem jest, aby kapłani byli wszędzie ojcami ludu, starającymi się nie tylko o niebo dla swoich parafian, ale także o obfitszy chleb doczesny i mieli serce pełne miłości dla wszystkiego, co lud obchodzi, co go cieszy i boli.

»Pragnę, aby lud miał wszędzie dobrą szkołę i dobrego nauczyciela, aby w każdej parafii była biblioteka parafialna, a w każdej wsi czytelnia i biblioteka gminna; pragnę, aby każda parafia miała swoją kasę raiffeisenowską, swoje sklepiki i swoje kółka rolnicze.

»Pochwala myśl wybierania chłopów na posłów, ale równocześnie przestrzega, by lud zamiast wykształconego, uczciwego człowieka wyższego stanu, nie wybierał ciemnego z tej tylko racyi, że jest chłopem.

»Robotnikom i pracodawcom jednego zawodu poleca organizować się w stowarzyszenia współrzędne, w którychby obie strony razem obradowały nad wspólnymi swymi interesami i zgodnie tych interesów bronili. Tak samo zorganizować się powinny wszystkie inne stany, a każde takie stowarzyszenie zawodowe wyśle swoich posłów do sejmu i parlamentu.«

List pasterski kończy się szeregiem apelów do wszystkich warstw społeczeństwa, aby współdziałały w wytkniętym kierunku, więc przedewszystkiem do księży i do ludzi świeckich, z warstw zamożniejszych i urzędników, aby wyszedłszy z plebanii, z kasyn i różnych handelków, od zielonego stolika i porzuciwszy wstrętne samolubstwo poszli w lud roboczy, w lud rolniczy.

Szczera prawda mieści się w każdem zdaniu wzmiankowanego listu ks. arcybiskupa — lecz niestety z boleścią powiedzieć musimy, że niewiadomo kiedy stanie się zadość gorącemu życzeniu arcypasterza, skoro w ostatnich czasach prawie wszystkie wybitniejsze osobistości, aczkolwiek widzą złe czyny, boją się wypowiedzieć słowa prawdy i przez to przyczyniają się do powszechnej demoralizacyi i zgnilizny naszego społeczeństwa.

Powyższe wskazówki, których potrzebę społeczeństwo dawno już odczuwało, powinny były wyjść trochę wcześniej ze stolicy biskupiej, witamy z całem uznaniem, bo chociaż spóźnione wyszły, to jednak zdołają jeszcze, szczerze i rozumnie zastosowane, niejedno złe już nieco zakorzenione naprawić! Mamy nadzieję, że za przykładem arcyb. lwowskiego pójdą i inni biskupi galicyjscy, bo tego wymaga nie tylko doczesne dobro społeczeństwa, ale interes Kościoła katolickiego. Dzisiaj nie wystarcza, by Kościół katolicki dbał tylko o stronę duchowną powierzonych sobie owieczek, ale musi dbać i o stronę doczesną, o stronę materyalną, o chleb powszedni, jeśli nie chce, by mu zupełnie odebrano ster przewodnictwa w dziejach ludzkości. Kościół albo musi zrezygnować ze swego przewodnictwa i usunąć się na dalszy plan, albo musi się jąć pracy i rozwinąć swą działalność poza murami świątyń, poza amboną, poza konfesyonałem i kancelaryą parafialną. Wszak dzisiaj wiadomem jest, że duchowieństwo straciło wiele na swej powadze i można powiedzieć, że się już pozwoliło wypchnąć z pierwszych szeregów na drugi plan, a to nie skutkiem braku wiary u ludu naszego, ale skutkiem własnego zachowania się. W ostatnich czasach stosunki społeczne uległy ogromnej zmianie, a duchowieństwo przypatrywało się obojętnie, nie biorąc prawie żadnego udziału w tem przeistaczaniu się społecznem. Stało się więc to, co się stać musiało, że duchowieństwo pozostało w tyle, bo nie poszło z prądem czasu, a w pierwszych szeregach stanęli ludzie świeccy i ujęli ster przewodniego działania w swe ręce. I to jest powód obniżenia się wpływu i powagi duchowieństwa. Spostrzegł to złe arcyb. lwowski i chciałby to złe naprawić, jednak nie taimy, że skutkiem spóźnienia jest to rzecz trudna, wymagająca wytężającej i zdwojonej pracy. Dobre chęci arcyb. lwowskiego mogą jeszcze wyrównać zaniedbane zaległości, jeśli słowa i wskazówki jego będą szybko i energicznie w czyn zamienione. Tu jednak zaznaczyć trzeba, że winy zaniedbania szukać należy nie u parafialnego duchowieństwa, któremu ani zdolności, ani dobrej woli, ani chęci do pracy nie brak, ale gdzieindziej?!

Z czego żyją żydzi po miasteczkach.

Takie pytanie nie jednemu przyjdzie do głowy, gdy się zastanowi nad ilością żydów po miastach i miasteczkach.

Wiemy wszyscy, że każdy człowiek chcąc żyć i zapracować na to, czego potrzebuje, musi coś robić. Więc pracuje rolnik, uprawiając ziemię, aby wydobyć z niej płody do karmienia wszystkich ludzi; pracuje rzemieślnik, wyrabiając różne rzeczy potrzebne rolnikowi i innym; pracuje nauczyciel, ucząc dzieci czytać, pisać, rachować i innych rzeczy; pracuje ksiądz, spełniając obowiązki religijne i ucząc ludzi moralności; pracuje lekarz, czyli doktor, lecząc chorych; pracuje aptekarz, przyrządzając lekarstwa; pracuje uczony profesor, kształcąc młodzież i przysposabiając ją do różnych uży-

tecznych zajęć; pracuje literat, czyli pisarz, pisząc różne pożyteczne książki i gazety; pracuje inżynier, budując szosy, mosty, koleje, fabryki i t. p.; pracuje uczony, wymyślając maszyny i inne użyteczne rzeczy; pracuje urzędnik, fabrykant, żeglarz — słowem każdy, kto nie zjada darmo chleba, lecz jakąkolwiek pracą przyczynia się do dobra społecznego. Przeciwnie: próżniak, szachraj, oszust, złodziej — nie przynosi społeczeństwu korzyści, lecz szkodę, raz dlatego, że spożywa to, na co uczciwie nie zarobił, a powtóre, że wnosi i szerzy zarazę swych łotrowskich nawyknień i skłonności pomiędzy ludzi uczciwych.

Są i między żydami szewcy, krawcy, garbarze, stolarze, cieśle, i inni rzemieślnicy, którzy na swe utrzymanie pracują nieraz ciężko i uczciwie, lecz tych stosunkowo jest mało; daleko większa część żydów, czemże się trudni? Różnego rodzaju handlem, faktorstwem, pośrednictwem i pożyczaniem pieniędzy na procent. Jedni utrzymują sklepy z różnemi, niestety, zwykle najlichszemi towarami, inni wypożyczają naszym braciom pieniądze na procent, przewyższający bardzo często przepisany prawem; inni handlują zbożem, nie gardząc różnemi sprytnemi sztuczkami; inni, włócząc się całemi tygodniami po wsiach i skupując bydło, cielęta, drób, zboże, jaja, masło, len, konopie, przędzę, stare gałgany, stare obuwie, słomę, siano i co się da, starając się nabywać to wszystko najtaniej, często z krzywdą sprzedającego. Inni wreszcie roznoszą małowartościowe drobiazgi, wyłudzając za nie kilkakrotnie wyższą zapłatę gotówką, albo najczęściej taki handel z kobietami prowadzą kaszą, mąką, lnem, i tym podobnemi rzeczami, co zwykle jeszcze drożej wyniesie.

Trudno, a nawet niepodobna wyliczyć wszystkich sposobów zarobkowania żydów po wsiach i miasteczkach. Prawda, że wiele rodzin żydowskich żyje w strasznej nędzy, ale pominąwszy tych, którzy rzeczywiście pracują — bardzo wielu żyje dostatnio, a nierzadko jednostki się bogacą. Niejeden z nich, zaczynając »interes«, posiadał w kieszeni swoich lub pożyczonych 3 — 5 złr. i wziąwszy worek na plecy a butelkę z wódką do kieszeni, szedł na wieś, a po kilkunastu latach stał się bankierem, posiadającym kilkadziesiąt tysięcy złr... Inny, założywszy sklepik, po różnych spekulacyach, do podobnych doszedł rezultatów. A takich, zbogaconych z niczego, znaleźć można po paru, albo i po kilkunastu w każdem miasteczku, a także po kilkudziesięciu mniejszych kapitalistów, wyrosłych i wciąż wyrastających z niczego, jak grzyby po deszczu.

Otóż bez takiego pośrednictwa i tylu pośredników mybyśmy się powinni obejść.

W jaki sposób?

Oto powinniśmy we wszystkich miasteczkach:

1) Zakładać kasy chrześcijańskie, aby żadnych pożyczek u żydów nie brać.

2) Zawiązywać spółki zbożowe w celu kupowania i sprzedawania zboża.

3) Zakładać sklepy spółkowe: kolonialne, spożywcze, żelazne, ze skórami na obuwie, z towarami łokciowemi, z galanteryą i t. p.

4) Zawiązywać spółki w celu zakupywania poręb leśnych lub większych partyi drzewa i handlowanie takowem.

(Do wielu takich spółek, a zwłaszcza do zbożowej, powinni przystępować i okoliczni włościanie.)

W tych czterech punktach wymieniłem główniejsze gałęzie handlu. Gdyby po naszych miasteczkach takie handle spółkowe pozakładano, to jakaż liczba ludzi zdolniejszych mogłaby przy tych handlach mieć utrzymanie, a ogół każdego miasteczka stawałby się z każdym rokiem o kilkadziesiąt tysięcy złr. zamożniejszy.

Może ktoś powiedzieć, że i żydzi są naszymi bliźnimi i że oni żyć potrzebują.

My między sobą o kawałek chleba drzemy się nieraz jak psy, bo chodzi nam o życie — więc dlaczego mamy być lepszymi w stosunkach... Oczywiście — ale »bliższa koszula ciała niż suknia«. Nie należy żydów prześladować ani krzywdzić, lecz niedołęstwem jest i głupotą leźć im w łapy, zostawiając im wyłącznie całe pola pracy. Oni myślą o sobie i popierają się wzajemnie z całych sił, więc dlaczegoż my mamy nie robić tego samego? To jest naszym społecznym obowiązkiem i wielki czas już to zrozumieć.

Może ktoś powiedzieć, że nie koniecznie przez spółki i stowarzyszenia można się bronić przed wyzyskiem żydów, bo nasi swojacy i w pojedynkę mogą zakładać różne handle, a ogół będzie ich popierał. Jest to mniemanie błędne: raz, że nasz ogół małomiasteczkowy i wiejski jest jeszcze mało oświecony i przyzwyczajony do żydów; a po drugie, że między naszymi brak jest zdolnych do handlu, a jeżeli się znajdzie ktoś pojmujący rzecz i założy jakiś sklepik, prawie zawsze z małym kapitalikiem, to długo nie wytrzyma, bo—jak powiedział jeden mój znajomy—»jeden pójdzie do ciotki Ruchli, ów do stryjny Gitli, inny do babci Symchowej, Józefowa do wuja Srula, Maciejowa do Stryja Lejbusia, Michałowa zaś do dziadka Goldmachera i t. d., a do swojaka tylko w razie wielkiej potrzeby — w szabas, lub na kredyt. Oprócz tego każdy nowootwarty sklep chrześcijański kupcy żydowscy prześladują na wszelkie sposoby.

Co innego sklep lub inny handel założony przez spółkę, stowarzyszenie.

Najprzód, że spółka czy stowarzyszenie może złożyć odpowiedni większy kapitał; a powtóre, że każdy stowarzyszony czuje się obowiązanym wszelkiemi sposobami popierać interes, do którego sam należy. Więc nie tylko, że sam wszystko będzie kupować, ale i swoich znajomych, a nienależących do stowarzyszenia zachęcać.

W jaki sposób zarażamy się chorobami zakaźnemi?

Ażeby łatwiej zrozumieć, jak zapobiegać należy szerzeniu się chorób zakaźnych, należy wiedzieć, jaką drogą zarazki [1]) ich dostać się mogą do ciała człowieka.

[1]) Zarazki czyli bakterye albo bakcyle są to bardzo małe żyjątka, robaczki, których gołem okiem widzieć nie można, tylko zapomocą szkieł powiększających.

Zarazków chorób zakaźnych jest ogromna ilość i prawie wszędzie znajdują się one. Udzielać się zaś mogą człowiekowi zdrowemu:

a) przez powietrze, w którem unoszą się wraz z pyłem, a dokąd przedostały się bezpośrednio od chorych. Wdychanie takiego powietrza przez człowieka zdrowego może wywołać taką chorobę zakaźną, jakiej bakterye wchłonął w siebie. Tą drogą możemy zarazić się suchotami, czyli gruźlicą płuc, różą, tyfusem, cholerą i innemi;

b) woda rzek, sadzawek i studzien może się zanieczyścić rozmaitemi bakteryami; pijąc więc taką zarażoną wodę, może się zarazić i człowiek. W wodzie mogą się mieścić zarazki tyfusu, zimnicy, cholery i innych. Dlatego to należy dbać o czystość wody, używanej do picia. Studnie winno się kopać zdala od wychodków i gnojowisk; przy studni powinno być koryto do pojenia bydła, aby nie piło z tego samego wiadra, z którego piją ludzie, co się często praktykuje. Studnię każdą należy raz na rok wyczerpać do dna i wyczyścić;

c) w wierzchnich warstwach gruntu także mieszczą się niektóre zarazki, jak n. p.: czarnej krosty, tężca i t. p., możemy się więc zarazić, grzebiąc w takiej ziemi lub zalepiając nią rany;

d) zarazki chorób zakaźnych mogą przechodzić bezpośrednio z osoby chorej na zdrową;

e) zarażać się możemy przez pośrednictwo przedmiotów rozmaitych, które były w styczności z chorym, jak: bielizna, odzież, pościel, plwocina, naczynia; jak również przez osoby pielęgnujące chorych, gdy te niedostatecznie dbają o czystość;

f) zapomocą mleka surowego, pochodzącego od krów chorych na perlicę, czyli suchoty bydlęce, możemy zarazić się suchotami. Dlatego też mleko od krów niepewnych należy używać zawsze przegotowane, gdyż gotowanie wszelkie zarazki zabija;

g) zapomocą owadów i innych stworzeń, mających blizką styczność z chorymi. N. p. komary mogą przenosić przez ukąszenie swoje zimnicę. Muchy, siadając na odchodach, ranach lub plwocinach chorego, a potem na pokarmach, spożywanych przez zdrowych, mogą przyczynić się do roznoszenia bakteryi suchot, tyfusu, cholery i t. d. Ptactwo domowe, dziobiąc wydzielinę chorych, a potem jedząc z misek, co po wsiach nieraz daje się widzieć, może również być szerzycielem zarazy.

Jak widać z tego wszystkiego, o zarażenie się nie trudno i jeżeli nie wszyscy, którzy mają styczność z chorymi, zarażają się od nich — to zależy to od bardzo wielu okoliczności. Niektóre choroby są właściwe wiekowi i starsi rzadko na nie zapadają i naodwrót. Pewne znów choroby przebywa się tylko raz w życiu, ci więc, którzy je przechodzili, nawet gdy blizko z chorymi obcują, są jednakże od nich zabezpieczeni. Są wreszcie osoby, które do pewnych chorób nie mają wcale usposobienia i przeciwnie, są takie, które odznaczają się wielką do niektórych chorób skłonnością i po kilka razy jednę i tę samą chorobę przechodzą. Co się zaś tyczy osób pielęgnujących chorych, to, gdy spełniają odpowiednie przepisy ochronne, mogą zakażenia uniknąć.

KRZYŻACKA MAĆ.

(Według powieści Sienkiewicza p. t. „KRZYŻACY".)

(Ciąg dalszy.)

Lecz na to nie było już odpowiedzi, albowiem Zbyszko zdumiał się tak, że nawet nie usłyszał zapytania. Przez chwilę stał jak skamieniały, oczom własnym nie wierząc, gdyż oto na ćwierć stai za nieznanym mężem ujrzał kilkunastu konnych żołnierzy, na czele których, ale znacznie naprzód, jechał rycerz przybrany cały w świecącą zbroję, w biały sukienny płaszcz z czarnym krzyżem i w stalowy hełm z przepysznym pawim czubem w grzebieniu.

— Krzyżak! — zawołał Zbyszko.

I na ten widok pomyślał, że modlitwy jego zostały wysłuchane, że Bóg w miłosierdziu swojem zsyła mu takiego Niemca, o jakiego w Tyńcu prosił — że trzeba z łaski Boskiej korzystać, więc nie wahając się ani chwili — zanim to wszystko przemknęło mu przez głowę, zanim miał czas ochłonąć ze zdumienia, pochylił się w kulbace, złożył glewiją w pół końskiego ucha i wydawszy rodowy okrzyk: »Grady! Grady!« ruszył co koń wyskoczy na Krzyżaka.

A tamten zdumiał się także, gdyż wstrzymał konia i nie pochylając kopii, sterczącej w górę od strzemienia, patrzył przed siebie, jakby nie pewny, czy w niego godzą.

— Pochyl kopię! — wrzeszczał Zbyszko, wbijając żelazne końce strzemion w boki końskie.

— Grady! Grady!

Przestrzeń dzieląca ich poczęła się zmniejszać. Krzyżak widząc, że napad wymierzony jest naprawdę ku niemu, ściągnął konia, nastawił broń i już, już kopia Zbyszkowa miała się roztrzaskać o jego piersi, gdy naraz jakaś potężna dłoń przyłamała ją Zbyszkowi przy samem ręku, jak zeschłą trzcinę, poczem taż sama dłoń ściągnęła cugle jego konia z tak straszliwą siłą, aż rumak zarył się wszystkiemi czterema nogami w ziemię i stanął jak wkopany.

— Szalony człecze, co czynisz? — ozwał się głęboki groźny głos — w posła godzisz, króla znieważasz!

Zbyszko spojrzał i poznał tegoż samego olbrzymiego męża, który poczytan za Walgierza, przestraszył przed chwilą dworskie niewiasty księżnej.

— Puszczaj na Niemca! Coś za jeden? — zawołał — chwytając za rękojeść topora.

— Precz z toporem! na miły Bóg! precz z toporem — mówię — bo z konia zwalę! — zawołał groźniej jeszcze nieznajomy. — Obraziłeś majestat króla i pod sąd pójdziesz.

Poczem zwrócił się ku ludziom, którzy jechali za Krzyżakiem i krzyknął:

— Bywaj!

— Ale tymczasem nadjechał Maćko z twarzą niespokojną i złowrogą. Rozumiał i on jasno, że Zbyszko postąpił jak szalony i że z tej sprawy zgubne dla niego mogą wyniknąć skutki, ale jednak gotów był do bitki. Cały orszak nieznanego rycerza i Krzyżaka wynosił zaledwie piętnastu ludzi, uzbrojonych po części w dzidy, po części w kusze — dwóch więc całkiem pokrytych rycerzy mogło się z nimi potykać, nie bez nadziei zwycięstwa. Myślał też Maćko, że jeżeli w następstwie miał im zagrozić sąd, to może i lepiej uniknąć go, przejechawszy przez tych ludzi, a potem pochować się gdzie, póki burza nie przeminie. Więc twarz skurczyła mu się zaraz, jak paszcza wilka gotowego kąsać, i wsparłszy konia między Zbyszka a nieznajomego męża, począł pytać, imając się jednocześnie miecza.

— Coście za jedni? skąd wasze prawo?

— Prawo moje stąd — odparł nieznajomy, że król mi nad przezpieczeństwem okolicy czuwać rozkazał, a zowią mnie Powała z Taczewa.

Na te słowa Maćko i Zbyszko spojrzeli na rycerza, a następnie pochowali nawpół już wyciągniętą broń do pochew i pospuszczali głowy. Nie strach ich obleciał, ale pochylili czoła przed głośnem i dobrze sobie znanem nazwiskiem, albowiem Powała z Taczewa, szlachcic znakomitego rodu i pan możny, posiadający liczne ziemie wedle Radomia, był zarazem jednym z najsławniejszych rycerzy w Królestwie. Rybałci opiewali go w pieśniach, jako wzór honoru i męstwa, sławiąc jego imię, na równi z imieniem Zawiszy z Garbowa, i Farureja, i Skarbka z Góry, i Dobka z Oleśnicy, i Jaśka Naszana, i Mikołaja z Moskorzewa, i Zyndrama z Maszkowic. W tej chwili przedstawiał on przytem osobę królewską, więc porwać się na niego, znaczyło tyle, ile oddać głowę pod topór kata.

Maćko też, ochłonąwszy — ozwał się pełnym poszanowania głosem:

— Cześć i pokłon wam, panie, waszej sławie i męstwu.

— Pokłon i wam, panie — odpowiedział Powała — choć wolałbym nie w tak ciężkiej przygodzie uczynić z wami znajomość.

— Czemu to? — spytał Maćko.

A Powała zwrócił się do Zbyszka:

— Cóżeś ty, młodzieniaszku, najlepszego uczynił? Na publicznym gościńcu, pod bokiem królewskim, porwałeś się na posła! Żali wiesz, coć zato czeka?

— Porwał się na posła, bo młody i głupi, przeto o uczynek łatwiej mu, niż o zastanowienie — rzekł Maćko, ale nie osądzicie go surowie, gdy całą sprawę opowiem.

— Nie ja go będę sądził. Moja rzecz jeno więzy mu nałożyć.

— Jakże-to? — ozwał się Maćko — obrzucając znów ponurem spojrzeniem całą gromadę ludzi.

— Wedle królewskiego rozkazania.

Po tych słowach zapadło milczenie.

— Szlachcic jest — rzekł wreszcie Maćko.

— To niech zaprzysięże na rycerską cześć, że stawi się na wszelki sąd.

— Poprzysięgnę na cześć! — zawołał Zbyszko.

— To dobrze. Jako-że was zowią?

Maćko wymienił nazwisko i herb.

— Jeśliście z dworu księżnej Januszowej, to poproście jej, aby się za wami wstawiła do króla.

— Nie z dworu jesteśmy. Z Litwy od księcia Witolda jedziem. Bogdajeśmy byli nijakiego dworu nie napotkali! Z tego to spotkania przyszło na chłopa nieszczęście.

I tu Maćko począł opowiadać, co się zdarzyło w gospodzie, więc mówił o spotkaniu dworu księżnej i o ślubowaniu Zbyszkowem, ale wkońcu pochwycił go nagły gniew na Zbyszka, przez którego nierozwagę popadli w tak ciężkie położenie, więc zwróciwszy się do niego, zawołał:

— A bodajeś ty był legł pod Wilnem! Cóżeś ty sobie warchlaku myślał?

— Ba — rzekł Zbyszko — po ślubowaniu modliłem się do pana Jezusa, by mi Niemców przysporzył — i dań mu obiecałem, więc gdym pawie pióra a przy nich opończę z czarnym krzyżem ujrzał, zaraz jakowyś głos zawołał we mnie: »Bij w Niemca, bo to cud!« No — i skoczyłem — ktoby był nie skoczył?

— Słuchajcie — przerwał powała z Taczowa. — Nie życzę ja wam złego, bo to widzę jasno, że ów młodzianek więcej przez płochość przyrodzoną wiekowi, niżeli przez złość zawinił. Radbym też zgoła na jego uczynek nie baczyć i pojechać sobie dalej. Ale mógłbym to tylko w takim razie uczynić, gdyby ów komtur obiecał, że się królowi nie poskarży. Proście go o to; może i jemu żal się uczyni wyrostka.

— Wolej pójdę pod sąd, niźlibym się miał Krzyżakowi pokłonić! — zawołał Zbyszko. — Nie przystoi to mojej czci władyckiej.

Na to Powała z Taczewa spojrzał na niego surowo i rzekł:

Źle czynisz. Lepiej od ciebie starsi wiedzą, co przystoi, a co nie przystoi czci rycerskiej. O mnie też ludzie słyszeli, a to ci powiadam, że gdybym taki uczynek popełnił, nie sromałbym się o darowanie winy prosić.

Zbyszko zawstydził się, ale rzuciwszy wokół oczyma — odrzekł:

— Tu ziemia równa, byle ją trochę udeptać. Niźli Niemca przepraszać, wolejbym się z nim potykał konną, albo pieszą, na śmierć, albo niewolę.

— Głupiś! — przerwał Maćko. — Jakże to z posłem będziesz się potykał? Ni tobie z nim, ni jemu z takim chłystkiem!

Tu zwrócił się do Powały.

— Wybaczcie, szlachetny panie. Do reszty rozwydrzyło mi się chłopisko przez wojnę, ale lepiej niech do Niemca nie gada, bo jeszczeby go zwymyślał. Ja będę gadał, ja będę prosił, a jeśliby po skończonem posłowaniu chciał się ów komtur w ogrodzieńcu samowtór potykać, to i ja mu stanę.

— Wielkiego rodu to jest rycerz, który nie każdemu stanie — rzekł Powała.

— Jakże? Albo to ja pasa i ostróg nie noszę? Mnie choćby i książę może stanąć — odpowiedział Maćko.

— Prawda jest, ale mu o tem nie mówcie, chybaby sam wspomniał, bo się boję, żeby się na was nie zawziął. No, niech was tam Bóg wspomaga!

— Pójdę za cię oczyma świecić — rzekł do Zbyszka Maćko — ale poczekaj!

I to rzekłszy zbliżył się do Krzyżaka, który zatrzymawszy się o kilka kroków, siedział nieruchomie na swym ogromnym, jak wielbłąd koniu, podobny do odlanego z żelaza posągu i słuchał z największą obojętnością poprzedniej rozmowy.

(C. d. n.)

SPRAWY LUDOWE.

Z Jordanowa piszą: Na zebraniu towarzyskiem dociekaliśmy powodów, dlaczego prześliczne polskie śpiewy nieszporne kasują, a wprowadzają łacińskie. Jeden z obecnych zrobił taką trafną uwagę:

»Jakto — powiada — wy nie wiecie, dlaczego kasują polskie nieszpory? Dlatego abyśmy nie śpiewali, jak stoi w nieszporach, że Bóg

»W dniu gniewu swego zetrze tyrany...
Pyszną na ziemi głowę poniży,
Sprawy rąk Jego prawdą miarkowane,
A zaś słusznością prawa prostowane
Bo na słuszności i na prawdzie stoją.
On ubogiego z gnoju wyprowadzi
I z książętami na »krześle« posadzi«.

Arcybiskup ormiański, ks. Teodorowicz ze Lwowa, wydał świeżo list pasterski, w którym dużo mówi o ruchu ludowym i o zeszłorocznych strejkach rolnych we wschodniej Galicyi. Słowa arcybiskupa Teodorowicza tchną szczerą życzliwością dla ludu i ruchu ludowego.

Ze Spiżu, ziemi polskiej na Węgrzech u podnóża Tatr położonej, donoszą, że wychodztwo do Ameryki tak się tam wzmogło, iż z 5102 powołanych do popisu wojskowego zgłosiło się tylko 2184. Reszta, t. j. **2928** popisowych, przebywa w Ameryce.

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA.

Macedonia. W ostatnich dniach stoczono w Macedonii kilka krwawych potyczek. W pobliżu miejscowości Malesz dwustu powstańców bułgarskich zaatakowało oddział wojska tureckiego. Bułgarzy rzucali na Turków bomby dynamitowe. Wkońcu jednakże zostali rozproszeni, straciwszy 50 ludzi w zabitych i rannych. Po stronie tureckiej poległo lub odniosło rany 40 ludzi. Wielki ten

oddział powstańców przybył z Bułgaryi, znajduje się w nim podobno 30 zbrodniarzy, wypuszczonych umyślnie z więzień bułgarskich, ażeby wzięli udział w powstaniu (?). Dalej walczono pod Kundiną, Sokolaraż, Smiliarną i Rybnicze. — W powiecie Krasowo oddział powstańców rabował po wsiach tureckich.

Salonika. Wczoraj usiłował tu pewien Bułgar rzucić bombę dynamitową na urząd telegraficzny. W tej chwili rzucił się na niego tłum Turków i zabił go, zanim jeszcze zdołał wykonać swój zamiar.

Pożary w Galicyi w roku 1902. W roku ubiegłym było w Galicyi pożarów ogółem 632. Ofiarą płomieni padło 1146 domów mieszkalnych, 1374 budynków gospodarczych, 35 zakładów przemysłowych, 3 kościoły. W płomieniach straciło życie 9 osób. Ogólna szkoda zrządzona pożarami wynosi 3 miliony 326 tysięcy 970 koron.

Francya. Prześladowanie religijne trwa tu dalej. Wojsko i żandarmi wdzierają się siłą do klasztorów i wypędzają zakonników. Lud burzy się i wznosi okrzyki na cześć zakonników i wolności.

Kronika i rozmaitości.

Rębacz drzewa — miliarderem. Jeszcze w r. 1858 w lasach kanadyjskich rąbał drzewo z dwoma towarzyszami James Hill. W czasie spoczynku wyjmował z bocznej kieszeni gazetkę i czytał. Pewnego razu po przeczytaniu artykuliku pod tytułem „Znakomita sposobność dla młodych ludzi na zachodzie Stanów Zjednoczonych“, gdy wrócił do domu, rzekł do swego ojca, biednego farmera: Wyczytałem pomyślną wiadomość dla mnie i pójdę tam szukać szczęścia. Ojciec nie wzbraniał synowi i młody James Hill udał się we wskazane przez gazetkę miejsce. I w istocie znalazł tam swe szczęście, bo pracując pilnie, rzetelnie i uczciwie coraz więcej przy oszczędności zgromadzał grosza, a gdy do tego przeprowadził kilka spekulacyj szczęśliwie, miał już na tyle pieniędzy, że rzucił się do budowania olbrzymich kolei, które mu również przynosiły olbrzymie dochody. Dzisiaj zowią go „królem kolejowym“ i James Hill z rębacza biednego wyszedł na miliardera! W St. Paul zbudował sobie wspaniały pałac. Więcej niż miliardy zasługują na uwagę jego wzniosłe zasady, któremi się kierował i innym to poleca. „Wstawaj rano, bo to czas najlepszy do pracy. Bądź uczciwym, pewnym siebie i ufnym w swe siły. Nie zrażaj się przeciwnościami, bo cierniowa droga prowadzi do zwycięstwa. Przedewszystkiem kochaj prawdę, lecz nie słowem, ale wypełnianiem prawdy.“ Takiemi zasadami powinienby każdy z nas się kierować. Niestety...

Gdzie najmniej piją. Okazuje się, że użycie trunków najbardziej ostatnimi czasy zmniejsza się w Norwegii. Gdy n. p. we Francyi przypada jeszcze na głowę po 16 kwart rocznie alkoholu czyli spirytusu, w Norwegii tylko niecałe 3 kwarty. Taki pomyślny stan rzeczy przypisują temu, że w Norwegii wyszynkiem i sprzedażą trunków trudni się stowarzyszenie, które stara się o zmniejszenie użycia tego napoju. W zachęcaniu do picia niema tam nikt interesu, bo czysty zysk ze sprzedaży spirytusu i piwa idzie na dobroczynność. Kupcom prywatnym niewolno tam sprzedać mniej niż 250 kwart wódki czy piwa. Coraz

więcej miast Norwegii uchwala prawo, że w ich obrębie nikomu niewolno trudnić się sprzedażą alkoholu. Po wsiach norwezkich prawie wcale niema szynków, tak, że można tam parę dni jechać i nie mieć możności wypicia kieliszeczka. W mieście Hansegarund jest 7000 ludności, a od chwili założenia go, to jest od roku 1854, istnieje tu prawny zakaz sprzedaży alkoholu. I co powiecie? z braku gorzałki jeszcze tam ani jeden człowiek nie umarł; owszem, powiadają, że dlatego właśnie są zdrowi i czerstwi.

Dzielny żandarm. Onegdaj wybuchnął pożar na folwarku w Małkowicach w zabudowaniu, gdzie zamieszkiwała służba. Gdy ogień ogarnął już cały dom, przypomniano sobie, że w jednej izbie pozostało dwoje dzieci. Ratunek zdawał się być wprost niemożliwym. Gdy się o tem dowiedział komendant posterunku, niejaki Starościuk, rzucił się w gorejący dom i szczęśliwie wyratował dzieci. Za taki bohaterski czyn należy się uznanie i odznaczenie.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Jan Świder. Pieniądze na prenumeratę otrzymaliśmy, serdecznie pozdrawiamy, szczęść Boże.

P. Franciszek Mardyło. Otrzymana prenumerata.

P. Józef Kudzia. Kalendarzy już nie mamy, może pan jeszcze dostać w księgarni Wojnara w Krakowie ulica Szewska, za jednanie prenumeratorów dziękujemy i prosimy nadal o pamięć.

Za ogłoszenia nie bierze Redakcya żadnej odpowiedzialności.

Wydawcy i właściciele: **Ks. Andrzej Szponder i Dr Michał Danielak.** — Redaktor odpowiedzialny: **Władysław Jaśko.**

Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.